OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 12 Lipca 1865 roku.

Nr 28. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

CÓRKA RZEMIEŚLNIKA.

(POWIASTKA OBYCZAJOWA).

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 27).

III

„Biada temu domowi,
Gdzie krowa dobodzie wołowi."
(*Dawne przysłowie*).

Joasia miała tylko matkę. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby ojciec jéj spoczywał już w grobie..... wcale nie, znaczy to tylko, iż zacny majster tak pilnie zatrudniał się heblem i kuflem bawara, że nie stało mu i chwilki na zajęcie się córką. Wychowanie przeto jedynaczki, należało wyłącznie do matki, osoby wspaniałéj tuszy, zawsze wybornego humoru, obdarzonéj od natury grubym głosem, zadartym noskiem i wielką próżnością. Pani Maciejowa, gdyż Maciej było imię szczęśliwego małżonka, przed wielu laty miała chwile swojéj świetności; gdyż jako córka warszawskiego szewca, roiła sobie Bóg wie co, i postępowała niezbyt dobrze, tak, że nieboszczyk ojciec wydać ją musiał za pana Macieja. Lecz pamięć pierwszych wrażeń na zawsze drogą pozostała dla pani Maciejowej, i związek swój z potulnym ale poczciwym Maciejem, uznała za mezalians. Tylko uległość małżonka, przywracała zawsze zgodę temu stadłu, ile razy zbyt żywe wspomnienia, wywołały burzę na usta zacnéj niewiasty.

Zawiedziona w osobistych swoich nadziejach pani Maciejowa, postanowiła nieodwołalnie, za przyjściem na świat Joasi, uczynić z niéj wielką damę i świetny los zapewnić. Drogą do tego miało stać się małżeństwo z urzędnikiem trzechtysięcznym. Projekt ten był przedmiotem wiecznych jéj rozmów i najmilszych nadziei, o czem wiedzieli wszyscy, a nawet nie opuszczając pani Rajfurskiéj, jak to słyszeliśmy poprzednio.



Warsztat stolarski.—(str. 221, szp. 2).
(Rysował Rudzki — wyciął na drzewie Szymborski).

— No, czyż moja Joasia nie warta urzędnika? mawiała p. Maciejowa. Dziewczyna jak skra, buzia śliczna... a i edukacyją dałam nie lada... umie parle, parle i brum, drum...

Parle, parle, znaczyło że Joasia umie po francuzku, a brum drum, że brząka na fortepianie. Jedno i drugie było tylko przywidzeniem kochającéj matki. Joasia bowiem dwóch słów po francuzku skleić nie mogła, a grała fałszywie tylko jednę starą polkę. Nikt jednak nie odważył się tego powiedzieć głośno, bo miałby do czynienia z krzykliwym gardziołkiem pani Maciejowéj i z twardą dłonią całego warsztatu. Warsztat bowiem stolarski, jakkolwiek miał widomą głowę w panu Macieju, ulegał jednak wszechwładnym rozkazom pani, i entuzyastycznie wielbił wdzięki i przymioty panny majstrówny. Szczególniejszym zaś ich adoratorem, był Piotr, czeladnik z W. X. Poznańskiego rodem, chłopak poczciwy ale nieco z niemiecka w mowie natrącający, a przytem olbrzymiego wzrostu i wielkiéj niezgrabności w ruchach. Piotr był prawą ręką pana Macieja w warsztacie, posługaczem domowym pani Maciejowéj i przedmiotem ciągłych żarcików panny Joanny, do któréj przywiązał się wiernością brata i sługi. Po cichu szeptano, iż Piotr ma nadzieję dostać się do rączki panienki, na co pani Maciejowa, wyszczerzywszy czarne ząbki, odpowiadała dość trywjalnie ale dobitnie.

W takim to domu i takiemi otoczona osobami, kwitła panna Joanna, młode dziewczę, którešmy poznali na Krakowskiem-Przedmieściu, w chwili rozpoczęcia naszéj powieści.

IV.

„Dziś dzień twojego imienia!
Córko przyjm nasze życzenia!!
Oby ci los przypadł wdzięczny!!!
I urzędnik trzech-tysięczny!!!!"
(Powinszowanie pani Maciejowéj).

W domu państwa Maciejostwa obchodzono solennie trzy dni do roku: imieniny pani, nowy rok i imieniny panny. Ta ostatnia uroczystość odbywała się z wielką paradą i wystawą; wspaniała feta, spotykała zaproszonych przyjaciół domu i znajomych.

Rankiem więc dnia 24 maja, w dniu Ś-éj Joanny naszą milutką i rozmarzoną panienkę, wczesny ruch w całym domu obudził. Rodzice przyszli składać życzenia swéj jedynaczce. Jest to scena rozczulająca. Familijne uczucia zawsze są godne poszanowania. Miłość dla swego dziecięcia jest obowiązkiem, byleby tylko nie wpadała w przesadę. Kto przesadza, ten jasno nie widzi, a kto nie widzi, ten błądzi. Pani Maciejowa była właśnie w tem położeniu. Miłość przesadzona dla córki, doprowadziła ją niemal do bałwochwalstwa. Psuło to cały efekt przywiązania i z wszystkiego robiło komedyją. I teraz niebyło lepiéj. Powinszowania zakrawały na szumną orację, która kończyła się życzeniem świetnéj karjery, co miało znaczyć urzędnika trzechtysięcznego!

Matka z córką płakały. Pan Maciéj zachowywał się mniéj czule, ale w każdym razie udawał, że rękawami oczy obciera. Życzył on także swéj córce męża, ale jakiego poczciwego, pracowitego rzemieślnika. To wywołało uwagę pani Maciejowéj.

— Dałbyś też pokój już tym życzeniom rzemieślników; czy to nasza Joasia niewarta lepszego losu? Cóż jéj za niewola iść za rzemieślnika, chyba po to, aby całe życie pracowała jako ja?—Tu musimy nawiasem czytelników objaśnić, iż pani Maciejowa nietrudziła tak zbytecznie swéj otyłéj persony; w gospodarstwie bowiem wyręczała ją bardzo chuda panna Anna, daleka krewna. Anusia pracowała, pani Maciejowa zrzędziła, i to się nazywało rozdziałem trudów.

— Albo to źle za rzemieślnikiem, gdy uczciwy? ozwał się nieśmiało pan Maciéj.

— Źle czy dobrze mniejsza, to tylko pewna, że za rzemieślnika Joasi nie dam. Nie na tom ją kazała uczyć parle, parle, i brum drum. Oto, gdybyś był dobrym ojcem, to zaznajomiłbyś się z jakim porządnym urzędnikiem; ale ty wolisz przesiedzieć w bawaryi, niż robić dobre znajomości.

— Trudno tobie dogodzić, wtrącił p. Maciéj, jakiem ci przyprowadził pana Franciszka, urzędnika z biura kopytkowego, to jejmość na niego nosem kręciła!

— Ale! przyprowadziłeś jakiegoś tam goljasza, z bióra kopytkowego, co ma osiemset złotych pensyi. Nic z tego, musi być urzędnik i to trzechtysięczny!!

— Pan Franciszek ma 1,200 złp. pensyi, protestował p. Maciéj.

— Nieprawda! dowiadywałam się, 800 tylko! zawołała żona.

— Moja jejmość, sam mi mówił, że 1,200 pokornie wtórował Maciéj.

— Widzicie go! jegomość będzie mi się tu sprzeciwiał! krzyczała już blizka uniesienia p. Maciejowa. Kiedy ja ci powiadam że 800 to 800 tylko! Co ja mówię, to zawsze święta prawda. Najprawdziwsza prawda!!...

Zabierało się na żwawą burzę, gdy dano znać pani Maciejowéj, że Rajfurska przyszła. Skrzywił się p. Maciéj na tę wiadomość, bo nie lubił baby, ale za to pani Maciejowa z radością poskoczyła do pierwszego pokoju, gdzie już przybyła dama rozsiadła się w fotelu.

— A, witam! witam! kochaną panią! tak dawno niewidziana!

— Jakże mi miło! jakże mi przyjemnie!!...

I przy tych słowach dwie jejmoście gęsto obsypywały pocałunkami swoje pulchne policzki.

— A przyszłam winszować, winszować pannie Joasi... mówiła Rajfurska, a i pani także powinszować takiéj córki! Jaka śliczna, milutka, edukowana, och warta najlepszego losu!

— To się wié! odrzekła z pychą p. Maciejowa, nie wydam za byle kogo!

— Zapewne! warta, warta, bo to i każdemu się podoba i układna. Kto zobaczy to chwali. Ot i mój kuzyn pan Alfons, urzędnik z Magistratu, jak ją ujrzał na ulicy, odchwalić się jéj nie mógł.

— Urzędnik!? Pani Maciejowa chciała już zapytać się wiele ma pensyi, ale tylko ugryzła się w język. Ukazała się też niebawem Joasia; wniesiono przekąskę i wódeczkę, któréj panie hojnie sobie dolewały, boć to tylko damski słodki likierek.

Po długiéj gawędce, w któréj przetrajkotano wszystkie plotki z sąsiedztwa, zabierała się pani Rajfurska z pożegnaniem.

— No Joasiu, proszę panią na wieczór, odezwała się Maciejowa, a może i kuzyn pani dobrodziejki zaszczycić zechce naszą ubogą chałupę! Będzie nam bardzo przyjemnie, im więcéj osób, tem weseléj.

Tego właśnie potrzeba było p. Rafurskiéj; owoc złego zasiany został! *(Dalszy ciąg nastąpi).*

ZABAWA KWIATOWA W OGRODZIE SASKIM.

Chąc tę mozajkę różnobarwnych, że tak powiem, wieńców splecionych z naszych Warszawskich piękności słowem przedstawić, choć w przybliżeniu, jako się ona oczom naszym w sobotę dnia 24 czerwca 1865 roku w Warszawie, w Saskim ogrodzie, niby mieniąca się tęcza, przedstawiała uroczo, trzebaby wyrazy mowy naszéj zakląć chyba czarodziejską mocą, aby się w kwiaty przemieniły, i wtedy z nich splatać piękne wiązanki karmazynowych barw i wdzięków — i wtedy jeszczeby nie było wiernem sprawozdanie, boby brakowało wyrazu na najwybitniejszą cechę téj zabawy, cechę tak cenną, tak zacną, tak godną czci, bo cechę chrześcijańskiego współczucia, które stając się prawdziwem miłosierdziem, najszczytniejszą spełnia powinność człowieka. Więc się też silić nie będziemy na to, aby wam obraz podobny do prawdy, suchemi słowy nakreślić. To wszystko co było pięknem i uroczem, te fale przepływających alejami ogrodu mieszkańców Warszawy, te zastawne namioty, darami szlachetnych serc napełnione, urozmaicone kwiatami, tym symbolem najwłaściwszym dla szczerego uczucia serc, które ich pięknościom tak były podobne, wszystko to wraz z melodją doskonałéj muzyki szanownego, a bezinteresownego Bilsego, wszystko to, powtarzam, w dwójnasób było piękne i urocze, w dwójnasób czarujące i wspaniałe, bo potęgowała to wszystko pobudka właściwa zabawy, którą było owo śliczne uczucie, będące wielkiem szczęściem serca i pociechą w jego strapieniu, uczucie nazwane miłosierdziem, a natchnione Boską nauką Chrystusa. Czemu wyświadczający miłosierdzie ubogim, biednym, nieszczęśli-

wym, pogrążonym w nędzy, zbolałym, cierpiącym i znękanym życiem, weselą się tak serdecznie i bawią? Czemu oblicza ich tak uroczym jaśnieją blaskiem? Czemu wspaniałe tony muzyki tak radośnie nastrajają im serca? Czemu ten, co kilkanaście biletów zakupił na loterji, wydobywszy z koła fortuny same próżne kartki, nie marszczy gniewem czoła ni żałuje swojéj stawki, jak to robią owi panowie, których gra na giełdzie zawiodła, lub którym klassyczna ani stawki nie powróciła nawet? Czemu to, spytacie się może, czemu? Oto, odpowiem wam na to, że miłosierdzie spełnione, najwyższą szlachetne serce napawa rozkoszą; przekreśla wszystkie ziemskie frasunki i rachunki, usposabia prawdziwie po chrześcijańsku i nieraz nawet bywa skutecznem lekarstwem na bolesne choroby duszy, jakiemi są znudzenie się światem, przesycenie rozkoszą, zwątpienie w istotne szczęście na ziemi. Miłosierdzie to, niby czarodziejską laską nadało siedmiotysiącznemu towarzystwu ten koloryt swobody i wesela, któremu jednę bym tylko nienaturalność, jako dobremu z resztą obrazowi zarzucił, a mianowicie, przesadę w kostiumowaniu tak pięknych serc i w zbytkownem trzymaniu się mody. Bo zresztą wszystko było pochwały godne, wszystko godne czci i wdzięczności, którą tutaj wynurzamy wszystkim, a więc i tym naszego pisma czytelnikom, którzy nie mogąc co innego, stawianie namiotów do wspólnych ofiar skarbonki miłosierdzia, chętnie i bezinteresownie ponieśli. Wdzięczność im w imieniu biednych. *J. K. T.*

JESZCZE O BEZPŁATNÉJ SZKOLE RYSUNKOWÉJ

W WARSZAWIE.

Przed trzema miesiącami donosiliśmy wam, o otworzeniu bezpłatnéj szkoły rysunkowéj dla uczniów. Przez całe trzy miesiące, wstrzymywaliśmy się od uwag, oczekując, czy przewidywania nasze tyczące się niewłaściwego rozkładu godzin nauczania, sprawdzą się lub nie. Dziś wsparci na kilku cyfrach, śmieléj przystępujemy do ponownego wskazania wybitnych wadliwości.

Do Klassy Rysunkowéj uczęszcza:

Rzemieślników, razem terminatorów czyli uczniów i czeladzi	31
Uczniów Szkoły Głównéj	23
Uczniów Szkół Rządowych średnich, to jest: Gimnazjów i Szkół Powiatowych	35
Uczniów Instytutu Głuchoniemych	1
Pozostających przy rodzicach lub opiekunach	15
Pracujących przy budowniczych	4
Urzędników	2
Amatorów z własnych funduszów utrzymujących się	2
Razem wszystkich uczniów	113

Widzimy więc, że przeszło połowę uczniów składają studenci szkół publicznych, a z ogromnéj liczby rzemieślników żyjących w Warszawie, ledwie 31 uczęszcza do szkoły. A jednak dla iluż to rzemieślników jest nieodbicie potrzebnem. Cieśle, drzeworytnicy, fortepjaniści, introligatorzy, jubilerzy, kołodzieje, litografi, malarze pokojowi, murarze, pieczętarze, ślusarze, stolarze, tapicerzy, tokarze i inni, co krok posiłkować się muszą rysunkiem. Nizki stan rzemiosł naszych, w porównaniu z zagranicznemi, bezwątpienia i w owéj nieznajomości rysunku ma także przyczynę. Maluczka zaś cyfra 31 uczniów ze stanu rzemieślniczego, dobitnie świadczy, że warszawscy majstrzy i czeladź, dalecy są nawet od chęci nauczenia się czegoś i udoskonalenia swego rzemiosła. Wprawdzie, powtarzam znowu, zawadą w korzystaniu z lekcji rysunków, jest przedewszystkiem ta okoliczność, że na niedzielne i świąteczne lekcje rysunków, uczęszczać rzemieślnicy nie mogą i nie chcą: terminatorzy dla tego, że oni muszą iść w niedziele do szkół rzemieślniczych, więc nie mogą obarczać się nauką zbytecznie, a czeladź nie chce znowu mięszać się z podwładnymi sobie terminatorami, co im nawet po części i ustawy cechowe nie pozwalają. Jedynem więc środkiem zapobiegającym tym niedogodnościom, jest rozdział wykładów taki:

w niedziele i święta w godzinach po obiadowych, wykładać rysunek saméj czeladzi rzemieślniczéj, a

w jednym z dni powszednich tygodnia, w godzinach wieczornych wolnych (po fejerabendowych) od godziny 8 do 10-téj, uczyć samych tylko terminatorów.

Obok tego, należałoby także założyć prywatną szkołę rysunków, która łatwiéj mogąc się stosować do okoliczności, wyświadczałaby bezwątpienia znakomitą przysługę. *A. M.*

PRACA I OSZCZĘDNOŚĆ.

Człowiek pracujący zasługuje zawsze na szacunek, gdyż dopełnia on jednego z najważniejszych postanowień Boga, a przytem jednego z największych obowiązków względem ludzkości. Praca każdemu człowiekowi powinna zapewnić sposób do życia i utrzymania swéj familji, co nawet jest rzeczą najsłuszniejszą w świecie, że wykonywanie swych powinności jest wynagrodzonem. Dla czegoż więc klassa robotnicza zawiera tyle członków, którzy chociaż młodzi i często zdolni jeszcze, popadają w ciężką nędzę? Otóż, rozbierając tę kwestję i poszukując przyczyn wypadków, musimy dojść do tego przekonania: Że dla tego cierpią niektórzy taką nędzę, że pracowali źle, a przytem nic nie oszczędzali. Chcielibyśmy wlać we wszystkich to przekonanie, my którzy posiadamy taką sympatję do wszystkich co pracują, przekonanie najprawdziwsze w świecie, a dające się w ten sposób określić: *Praca jest to dobre użycie czasu; oszczędność zaś jest to dobre użycie zarobionych pieniędzy.* Angielskie przysłowie powiada: czas, to są pieniądze. I rzeczywiście, kto dobrze używa swego czasu, czyli kto podczas niego dobrze pracuje, ten za to zarabia wiele pieniędzy mu potrzebnych. Jest to prawda tak prosta i oczywista, że jéj nawet niepotrzeba dowodzić. A pracujesz ten dobrze i nietracisz kosztownego swego czasu, kto sobie pozwala, prócz niedzieli i świąt w kalendarzu wyznaczonych, jeszcze w inne dnie w tygodniu lub miesiącu przebałamucić?

Czyż to każdy z pracujących, nie odnosi już i tak wiele szkody w robocie, a ztąd i w zarobku, kiedy perjodycznie co pewien czas, zmniejsza się potrzeba jego pracy, jak np. przy zmianie pór roku lub podczas jakich wypadków? Nie jestże to dosyć jeszcze tych świętowań, kiedy one przychodzą same jako smutne chwilowe następstwa różnych wypadków losowych, lub zdarzających się finansowych przesileń? Pocóż więc świętować jeszcze owe *Blauer-Montagi*, co stanowią taką przerwę w pracy, co są powodem zmarnowania pieniędzy, nieraz krwawo zapracowanych, co tak przyczyniają się do zdemoralizowania, i są często powodem takich przykrych

zajść w domu. Nie żądamy wcale pracy bez wypoczynku i bez przerwy; człowiek bowiem nie jest maszyną i natura jego wymaga koniecznie wypoczynku po pracy i pewnéj przerwy w niéj, ale wszakże na to mamy dosyć niedzieli i świąt, które nam religja zaleca obchodzić. Nie jestże to więc oburzającą rzeczą, widzieć rzemieślnika niezachowującego przepisów religijnych, gdyż nieświętującego w niedzielę, niechcącego razem ze swoją żoną i dziećmi iść na nabożeństwo do kościoła w niedzielę, a dopiero w poniedziałek oddającego się w złéj kompanji, wszelkiego rodzaju zdrożnościom. Nie jestże to podobne postępowanie występkiem i niegodziwością względem swojéj familji. Obrachujemy zresztą ile to takie postępowanie przynieść może szkody pieniężnéj. Weźmy tylko, że w jakim kraju jest miljon ludzi zajmujących się rzemiosłami, pracą w fabrykach i handlem. Przypuśćmy teraz, że w téj liczbie pracowników tylko sześciu na każde sto osób, znajduje się takich co marnują jeden dzień w tygodniu, a już będziemy mieli tygodniowo zmarnowanych 60,000 dni pracy. W roku mamy 52 tygodnie, jeżeli ten miljon ludzi co każdy tydzień utraci 60,000 dni, to przez 52 tygodnie czyli przez rok cały, utraci marnie 3,120,000 dni. Jeżeli zarobek dzienny średnio teraz oznaczemy za każdy ten dzień po złp. 3, to będziemy mieli straty rocznéj przez to złp. 9,360,000, które klasa robotnicza mniéj zarobi w przeciągu roku, co jest stratą ogromną, a niczem niepowetowaną. Ale strata ta będzie jeszcze znaczniejszą, skoro zważemy, że ludzie ci, nietylko, że nie zarobią nic w tych dniach zmarnowanych, ale jeszcze wydać muszą na swe utrzymanie; a co gorzéj, że ponieważ próżniactwo jest matką wszelkiego złego, więc ludzie ci próżnując, nie tylko na utrzymanie życia swego wydać muszą, ale daleko więcéj jeszcze stracą na hulankę. Zatem próżnujący człowiek w poniedziałki, nietylko, że straci złotych 3, które mógłby zarobić, ale jeszcze najmniéj drugie złp. 3 przehula, co na całą massę pracujących, razem będzie stanowić najmniéj ze dwadzieścia miljonów złotych straty rocznéj. Nie ma tu nic przesadzonego w tem obrachowaniu; bo ktokolwiek widział ludzi poniedziałkujących, to musiał to zauważyć, z jaką to oni niedbałością o jutro rozrzucają pieniądze, nawet gdy ich nie mają, co to za hulanki na kredyt wtenczas wyprawiają.

Dodajmy jeszcze do téj straty materjalnéj straty moralne, które już z natury rzeczy są większemi, lubo nie dadzą się tak w liczbach wyrazić, gdyż ile to one zrujnują zdrowia, szczęścia domowego, ile zaciągną złych i niszczących skutków w przyszłości. Człowiek zresztą wyprawiający sobie święta czyli tak zwane *lusztyki*, nie może nic na przyszłość zaoszczędzić. A oszczędzanie ma niezmierną ważność dla wszystkich ludzi, z dnia na dzień z swojéj pracy żyjących. Jeżeli bowiem kto nieoszczędza, kiedy jest zdrów i młody, kiedy mu się dobrze powodzi, to skoro nadejdzie choroba, słabość i niepowodzenie, będzie przez to w nader przykrem położeniu, i nieraz gorzko żałować mu przyjdzie swéj nieprzezorności, lubo niestety! już to po-niewczasie będzie dla niego.

Dziś oszczędzenie jest łatwiejszem niż dawniéj, gdyż wszędzie po większych miastach są kassy oszczędności, do których co tydzień lub dwa, można wnosić swoje oszczędzone pieniądze, stosownie jak się otrzymuje zapłatę za prace. Człowiek co oszczędza, stawia się w położeniu bardzo korzystnem, gdyż tworzy sobie pewien fundusz, który mu bardzo przydać się może w dniach niepowodzeń lub nieszczęść. Staje się więcéj niezależnym, może przy zdarzonéj okazji coś na swą rękę przedsięwziąść; może też zresztą dać dzieciom swym, skoro jest żonatym, lepsze wykształcenie w młodości, a późniéj jakąś zapomogę, kiedy je z domu pomiędzy ludzi czyli *na swoje* wyprawia. Może nareszcie, zebranemi przez oszczędność, w całem życiu swem, pieniędzmi — polepszyć sobie życie w starości, co jest rzeczą nie małéj wagi dla każdego. Ile się to więc dobrego dla siebie i dla swojéj familji zrobić może, skoro człowiek jest pracowity, unika próżniaczego świętowania i oszczędza skrzętnie zarobione pieniądze, aby mógł sobie jakiś fundusz, na czas późniejszy zgromadzić.

O, pracujmy więc usilnie, unikajmy próżniactwa i pohulanek, zbierajmy grosz do grosza, a będziemy sobie mogli powiedzieć, że przy pomocy Boskiéj mamy lepszą dla siebie przyszłość w swym własnym ręku.

Oszczędność jest dziełem rozsądku i nazwyczajenia się. Początek jest w niéj najtrudniejszy, ale kto zacznie iść tą drogą, ten już jéj potem nie porzuci. Z początku starajmy się choćby tylko złoty jeden tygodniowo zaoszczędzić od naszych potrzeb. Oddajmy to zaraz do kassy Oszczędności, a przez lat kilka, uzbiera się piękna sumka i to bardzo łatwym sposobem, która się potem nieraz nadzwyczajnie nam przyda.

Zygmunt Gawarecki.



Ukazała się też niebawem Joasia. — (str. 222, szp. 2). (Rysował Rudzki—wyciął na drzewie Szymborski).

RESTAURACJE DLA LUDU.

1.

Pokarm jest pierwszą potrzebą człowieka; jeść musimy wszyscy, zarówno próżniacy jak pracowici. Dla tych jednak, którzy w ciężkim trudzie dobijają się kawałka chleba, którzy dzień cały pędzą u pługa lub nad warsztatem schyleni, nie obojętną jest rzeczą co jedzą; bo od pokarmu zależą siły ich ciała, a od sił zdrowie i ilość pracy, a zatem zarob-

ku. Zasadą jest niemylną, iż chcąc dużo pracować, trzeba dużo jeść, ze względu nie tylko na objętość, ale i na pożywność, a zatem takich pokarmów, które podtrzymują nasze życie i sprężystość naszych muskułów. Jeżeli zechcemy porównywać pracę robotników rozmaitéj narodowości, np. Anglików, Francuzów i Polaków, przekonamy się, iż pierwsi mogą pracować bez utrudzenia od 12 do 14 godzin dziennie, drudzy od 10 do 12, a ostatni zaledwie 10 i to czują się już niezmiernie przeciążeni, a robota ich w rzeczywistości, jest zaledwo połową pracy robotnika Angielskiego. Zkąd to pochodzi? Odpowiedź wyniknie sama z siebie, jeżeli porównamy zużycie pokarmów przez robotników tych trzech narodowości.

Anglicy w klimacie mglistym, zjadają ogromną massę robót grabarskich, wykonywanych przez robotników francuzkich, iż zawezwali w pomoc sprowadzonych robotników angielskich. Lecz przypatrzywszy się sposobowi życia tych ostatnich, zaczęli w podobny sposób prowadzić i Francuzów, a mianowicie uczyniono ich racje posilniejszemi i obfitszemi. W miesiąc już robotnicy Francuzcy, zrównali się z Angielskiemi, a następnie przy obfitem pożywieniu, przewyższyli ich w zręczności, szybkości roboty i wytrwałości.

Oto przyczyna, dla któréj wszyscy majstrowie, nie powinni skąpić pożywienia swojéj czeladzi, jeżeli od niéj wymagają pracy; oto przyczyna, dla jakiéj robotnicy dzienni, zamiast przepijać większą część swych dochodów na wódkę, nie mającą żadnéj pożywności, starać się usilnie powinni, o jak najlepsze i najzdrowsze pożywienie. Jest u nas zwy-



Zabawa kwiatowa w ogrodzie Saskim w Warszawie.—(str. 229, szp. 2).—(Rysował Polkowski—wyciął na drzewei Sznage).

mięsa na pół rozprażonego (rosbeefu), gęste pudyngi z mąki i popijają to wszystko wybornym piwem lub porterem. Pożywienie francuzkiego robotnika już słabsze, stanowi jednak przedewszystkiem chleb pszenny, jarzyny dość gęste i wino. U nas na objętość massa pożywanych pokarmów jest dość wielką, ale stanowią je powiększéj części rzadkie zupy: kartoflanka, zacierki, kasza, mniéj lub więcéj jałowe, a na drugie danie znów kartofle i kasza, rzadko mięso, ale za to zawsze wódka w miejsce pożywnego piwa. Zkądże więc robotnikowi naszemu wziąść tyle sił, któremi rozporządza angielski?

Że istotnie pokarm jest przyczyną téj różnicy sił, pracy i zarobków, poczyniono nader interesujące spostrzeżenia. Przy budowie jednéj z kolei żelaznych w północnéj Francji, inżynierowie tak byli niezadowoleni z powolnych postępów

czaj, iż dzienni robotnicy czy to luźni, czy fabryczni, a nawet czeladź rzemieślnicza, żeni się głównie dla tego, aby im kto miał prowadzić kuchnię i jeść zgotować. Nie myślemy wcale potępiać rodzinnego życia, ale to gotowanie domowe, stanowiące całe zatrudnienie dzienne kobiet naszych, jest w wielu razach raczéj mitręgą czasu, a stratą pieniędzy. Za granicą, mianowicie w Anglji i Niemczech, dawno już to usunięto; gdyż w ubogiéj klassie oboje małżonkowie ciężko na chleb pracować muszą w fabrykach, a pożywienie biorą z ludowych restauracji. Tam tylko, gdzie liczna jest rodzina, a zarobek męża wystarcza, żona zajmuje się gotowaniem. Tylko gotowanie wieczerzy, należy w Anglji do małżonki, gdyż po pracy najuboższy robotnik, używa wczasu przy ognisku domowem. U nas przeciwnie, domowe gotowanie, jak powiedzieliśmy, jest powszech-

ne, a restauracje ludowe czyli tak nazwane garkuchnie pod pompą, przynęcają tylko najuboższych lub kawalerów, i to tylko z najniższéj klassy robotniczéj. I dziwić się temu nie można, skoro garkuchnie te, z małym bardzo wyjątkiem, tak urządzeniem jak i wydawaniem potraw, stoją na niezmiernie nizkim stopniu, i wymagań zdrowia, przyzwoitości i pożywności pokarmów, nie zadawalają. Zwyczaj urządzania tych restauracji pod odkrytem niebem, czyli jak je nasz lud zwie malowniczo, „Pod pompą:" na Starem-Mieście, Dunaju-Szerokim, ulicy Brzozowéj, Franciszkańskiéj lub w tyle Gościnnego Dworu za Żelazną-Bramą, jest wielce starożytnym. W miastach, gdy te jeszcze w szczupłym obrębie otoczone murami, stanowiły prawdziwe fortece, kuchnie nawet możnych panów wznosiły się sklecone z desek na ulicach i rynku. Dopiero za Stanisława Augusta Poniatowskiego, zabroniono stawiania tych kuchni prywatnych panów, na rynku Staro-Miejskim. Lecz przekupki ze swoim klassycznym rejestrem potraw, przetrwały do dziś, zmieniając tylko nieco miejsce swego posiedzenia. Za Stanisława Augusta, a nawet na początku naszego stulecia, obszerne stragany z jadłem kopcącem się w garach i saganach, oblegały kolumnę Zygmunta przed Zamkiem. Drugie niemniéj licznie, przez podobne garkuchnie zajęte miejsce, było na wprost kościoła Święto-Krzyzkiego na niewielkiem placyku, przypierającym do tandety, jaka wówczas, około pałacyku Kazimierowskiego istniała. Następnie po 1815 do 1850 roku, sławne były garkuchnie już nie pod gołem niebem, ale w ubogich i dość brudnych sklepikach przy ulicy Bednarskiéj, tudzież na Szerokim - Dunaju. Trudniły się nietyle regularnemi obiadami, ile raczéj daniami na porcje flaków, o których wyraża się ironiczne podanie, że są z aksamitem, bigosów, kiszek i kiełbas, nóg na galaretę ściętych, zwykle jako godła przed sklep w wielkich dzieżach wystawianych. Nęcący zapach, jaki się z tych zakładów rozchodził, nie jednego tam robotnika wciągnął. Dziś jednak, nawet tradycja tych zakładów ginie, a zwolna pokątne gotowanie żywności przenosi się do szynków, z niemałą stratą dla zdrowia i kieszeni konsumentów; gdyż tam nie jedzenie, ale wódka jest głównym artykułem sprzedaży, na którym też największe zyski szynkarze ciągną. Dzieje się więc u nas wprost przeciwnie jak za granicą, gdzie zajęto się już silnie kwestją pożywienia i traktyjerni ludowych, a w wielu takich zakładach, sprzedaż wódki stanowczo jest zakazaną. Porządniejszych zakładów, któreby stale zadość czyniły wymaganiom średniéj klassy rzemieślniczéj, wcale nie mamy. Jest więc co w tym względzie do rozwijania i urządzania dla ludzi dobréj woli; jak zaś wzięto się do tego za granicą i jakie otrzymano wypadki, zobaczymy w następującym artykule.

Adam Wiślicki.

ZAJMUJĄCA HISTORJA STOŁKA.

We Francji niedaleko od miasta Ruen, we wsi Sen-Burgon, dnia 16 września 1804 roku, pewna dziewczyna siedziała sobie w cieniu krzaku i robiła pończochę; przed nią pasła się trzódka owiec, jéj opiece poruczona. Prześliczny był dzień jesienny; na niebie żadnéj chmurki, słońce dogrzewało jak latem. Nagle około godziny 3-éj po południu, Zuzanna Żakucino, tak się zwała pasterka, usłyszała po nad sobą szelest w powietrzu, podobny do gwizdu. Przelękniona Zuzanna zaledwie zdołała zerwać się, kiedy za nią w krzaku dało się słyszeć straszne uderzenie, sam krzak rozjechał się na wszystkie strony a z niego poleciały oderwane sęki i gałęzie. Na pomiętych chwiejących się gałęziach stał biały stołek! Zuzanna widząc to, upadła z przerażeniem na kolana i zaczęła wołać o pomoc; na to z okolicznych pól zbiegli się pasterze i rolnicy. Wszyscy ze zdumieniem spoglądali na cud, obnażali głowy i padali na twarz, nikt nie wątpił, że ten stołek, do którego żaden z obecnych nie śmiał dotknąć się, spadł prosto z nieba, niczem nie zamglonego, na którem żadnych szczególnych nie było znaków. Ale co znaczył ten stołek, i dla czego Zuzannę spotkał ten szczęśliwy wypadek? Tymczasem niektórzy z włościan pobiegli do wsi, dać znać o wypadku proboszczowi, zkąd wkrótce napłynęło mnóstwo ludzi z księdzem i organistą na podziw. Niezbyt łatwowierny ksiądz, wysłuchał opowieści o cudzie z niejakiem niedowierzaniem; lecz ta była tak prosta i przekonywająca, że nie było o czem rozprawiać; stołek spadł z nieba i powszystkiem! Oprócz księdza i kilku niedowiarków, cała wieś upadła na kolana. Nakoniec ksiądz kazał zdjąć stołek z krzaku, czego dokonali niedowiarkowie, nie bez pewnéj ostrożności. Stołek nikomu nie wyrządził szwanku, a był dobry z prawdziwego drzewa, stolarz który mu się pilnie przypatrywał, wyrzekł: „eh, toć to wyrób z drzewa brzozowego, a robota fuszerska!" na co pobożni ze strachem przeżegnali się, stołek w tryumfie zaniesiony był na pewien czas do kościoła. Wiadomość o cudzie, ściągała zewsząd ciekawych włościan. Ksiądz, nie wiedząc co począć, pozostawił sprawę losowi. Najwięcéj skorzystała Zuzanna; jedna dobroczynna wdowa przyjęła ją za dziecko, a pretendentów do ręki miała bez liku. Przez cały tydzień wrzały umysły, pomimo żartów ze strony niedowiarków, którzy wszakże sami nie umieli rozwiązać zagadki. Nakoniec jednego pięknego poranku stołek zniknął, dokąd, jakim sposobem, nikt nie wiedział. Zaledwie po roku dowiedziano się o szczegółach.

W wigilją zniknięcia stołka, ksiądz w gazecie, ku wielkiemu zadowoleniu swemu, wyczytał co następuje: Dnia 16 września z rana około godziny 9-éj, minut 40, znakomity badacz natury Gejlusak odbył drugą swoją nadpowietrzną podróż, wzniósł się na 7,016 stóp nad powierzchnię morza, jakiéj wysokości nie dosięgał dotąd żaden człowiek. Będąc w odległości 7,000 metrów od ziemi, próbował przejścia w wyższe jeszcze warstwy powietrza, i dla tego wypróżnił łódkę z balastu, nakoniec wyrzucił i drewniany stołek, wktórym siadywał. Pomimo to balon nie poszedł wyżéj i Gejlusak spuścił się na ziemię pomiędzy Ruenem i Dieppem około trzech kwadransy na czwartą." Ksiądz po przeczytaniu téj wiadomości uzbroił się w topór, i pod zasłoną nocy, udał się do kościoła, tuż przy jego domu będącego. Zaraz potem można było widzieć jasny płomień na kominie w gabinecie proboszcza. Znał on doskonale swoich włościan, i dla tego prawie po upływie roku, odkrył przed niemi tajemnicę stołka, chociaż nie wszystkich przekonał. Zuzanna zaś Żakucino, lubo wyszła za mąż i cieszyła się półtuzinem dziatek, do późnéj starości słynęła pod nazwą: „dziewicy stołka."

Mechaniczny kontroller dorożkarzy.

Świeżo dzienniki paryzkie ogłosiły o pewnym pomyśle nadzwyczaj dowcipnym i użytecznym; tyczy on się mechanicznego kontrollowania przebieżonéj drogi przez wóz, brykę, dorożkę lub jakikolwiek powóz. Powierzając zatem obecnie komu konie z powozem na cały dzień, możemy już z pewnością wiedzieć, co przez te kilkanaście godzin woźnica z niemi robił. Aparat służący do kontrolowania, umieszczony jest pod kozłem w maleńkiéj skrzyneczce, do-

brze zamkniętéj. Za jego to pomocą, jesteśmy w stanie z matematyczną ścisłością wyśledzić każdy krok zrobiony przez dorożkę, od czasu jéj wyjścia z domu aż do powrotu wieczorem. Całe to *curiculum*, wypisane znajdziemy na okrągłéj karcie, po połowie białego i czarnego koloru, a wielkości tarczy zwyczajnego pokojowego zegara.

Mamy przed sobą, mówi sprawozdawca, właśnie taką jedną kartę, opowiada nam ona dokładnie wszelkie przejazdy dorożki (fiakra) Nr. 1481 podczas całego dnia 7go listopada 1864 roku. Furman wyjechał z podwórza w 10 minut po godzinie 10éj rano; przejechał 3½ wiorsty, aby udać się na stację. Przybywszy tam oczekiwał na pasażera przez godzinę; potem zrobił kurs półgodzinny i jego pasażer wysiadł na 600 kroków przed stacją, na któréj znowu stanąwszy dorożkarz, oczekiwał przez 50 minut. Powozów czekających było bardzo wiele na stacji, gdyż nasza dorożka postępowała naprzód w szeregu aż pięć razy oczekując swojéj kolei. Odbyła teraz dwa kursa zabierające czasu godzinę i 10 minut, przedstawiając 43 wiorst ujechanéj drogi. Pierwszy pasażer wysiadł i został zaraz zastąpiony przez innego. Potem musiała jechać 2½ wiorst, aby powrócić na swoją stację. O godzinie 2 i minut 20 wynajął dorożkę na godzinę jakiś pasażer, i trzymał ją przez godzin 2 minut 40. Podczas tego czasu pasażer zatrzymał się trzy razy, a mianowicie pierwszy raz przez 35 minut, drugi 20, a trzeci 30 minut. Potem zaraz dorożka zrobiła 5½ wiorst kursu. Nakoniec odbyła ona jeszcze cztery inne mniejsze kursa, i skoro została opuszczoną przez ostatniego pasażera o godzinie 11 minut 20 wieczorem, znalazła się w oddaleniu jednéj mili od domu, do którego na noc powinna przybyć z powrotem.

Oto co nam wykazuje mechaniczny kontroller wynalazku pp. Meuley i Verdier.

Pan Meuley jest artystą i człowiekiem uczonym, jednym z najzręczniejszych i najzdolniejszych z pomiędzy robotników sławnego Bregeta.

Kontroller ten przeznaczonym jest do dorożek, ale nie z wielką zmianą może być zastosowanym także do wszelkich wozów i powozów, które właściciel zaocznie powierza furmanowi, a chciałby też słusznie wiedzieć, czyli ten godzinami całemi nie kazał jego koniowi wyczekiwać gdzie przed szynkiem lub karczmą, jak to się często dzieje.

Kontroller ten jest i z tego korzystnym, że pokazuje z całą ścisłością pasażerowi co powinien zapłacić za jazdę woźnicy, co jak w wielkich miastach jest rzeczą ważną, bo tu niema zwyczaju płacić dorożkarzowi za kurs ogólnie, ale stosunkowo do przebytej drogi.

W jaki zaś sposób dało się to wszystko na jednéj tablicy wykazać, nie będziemy tu opisywali, gdyż opis taki byłby trudny a nie jasny. Możemy tylko powiedzieć, że cały użyty mechanizm jest niezmiernie prosty, tak jak wszystkie pomysły i wynalazki, kiedy są dokonane z wielkim talentem. Są tutaj trzy skazówki poruszane przez mechanizm zegarowy połączony z kołami powozu. Wynalazcy przewidzieli wszystko naprzód, nawet to, że naznacza się osobno kurs robiony za rogatkami miasta, który naturalnie wszędzie jest droższy jak w samem mieście. Mechaniczny ten kontroller, jest już prawie od półroku probowanym u wielu powozów do najęcia, należących do wielkiéj Cesarskiéj kompanji omnibusów w Paryżu i jak dotąd, wypadki z tych prób mają być zupełnie zadawalniające.

Przyrząd ochraniający od skaleczeń lub śmierci ludzi pracujących przy machinach.

Spostrzeżenia p. Dolfuss, jednego z najznaczniejszych przemysłowców w Alzacji, wykazały, że na 111 wypadków zranienia lub śmierci spowodowanych przez machiny w ruchu będące, jakie miały miejsce w przeciągu 2½ lat w Mulhouzie i okolicach, największa liczba, (35) pochodziła z pochwycenia przez koła zębate machin, następnie z porwania przez pasy i inne części przesyłania ruchu, (13) a po tych dopiero, w mniejszym znacznie stosunku, następowały wypadki spowodowane przez rozmaite machiny specjalne. Spostrzeżenia te, wykazujące tak znaczną ilość nieszczęśliwych wypadków w krótkim stosunkowo czasie i w jednéj tylko prowincyi, dają nam miarę niebezpieczeństwa, na jakie narażeni są robotnicy przez własną nieostrożność, lub przez złe urządzenie organów ruchu, a zarazem pozwalają ocenić ważność prac i pomysłów, mających na celu usunięcie najgłówniejszych przyczyn, wspomnionych wypadków. Tą bezwątpienia myślą powodowana Akademja Nauk w Paryżu, nie wahała się przyznać jednéj z nagród Montyona, p. Herland, wynalazcy prostego bardzo przyrządu, do zakładania zrzuconych pasów, na koła pasowe, bez narażenia na niebezpieczeństwo robotnika, czynność tę wypełniającego. Gdy obecnie przyrząd ten w wielu fabrykach francuzkich, a mianowicie w obszernych warsztatach wynalazcy w Paryżu, został zastosowany i w użyciu okazał się praktycznym, podajemy tu jego opis, w nadziei, że właściciele fabryk tutejszych, nie będą szczędzić niewielkiego nakładu, aby po zarządzeniu stosownych prób, przyrząd ten w zakładach swoich wprowadzić.

Figury 1 i 2 przedstawiają nam przyrząd Herlanda w dwóch widokach:

a) koło pasowe lub bęben, osadzony stale na głównym wale przesłania ruchu i połączony pasem z rymszajbą *t*, osadzoną na saméj machinie lub też jéj przystawce.

d; widełki prostokątne, obejmujące pas i umieszczone w blizkości bębna.

e; drąg łamany o nierównych ramionach, obracający się około osi i służący do przesuwania widełek na prawo lub na lewo.

g; główna część przyrządu, która może być albo odlana w jednéj sztuce z bębnem, albo też wyrobiona z blachy żelaznéj i zastosowana do istniejących jéj przyrządów, przesłania ruchu. Część ta umieszczona z boku bębna, i styczna w jednym końcu do wału lub szaby, idzie w kierunku równoległym od promienia; następnie zagina się, zbliża stopniowo do obwodu bębna, i w końcu staje się do niego styczną. W punkcie styczności szerokość jéj jest 0; następnie powiększa się aż do punktu największego zgięcia, w którym szerokość jéj, jest nieco większa od szerokości pasa, tak, że wyprostowana na płaszczyźnie część ta, miałaby kształt czworoboku, złożonego z wązkiego prostokąta i trójkąta prostokątnego.

i; powierzchnia otaczająca wał lecz niedotykająca go.

t,t; przeszkody ograniczające ruch drąga łamanego, a tem samem i przebieg widełek.

Aleksander Miecznikowski.

ROZMAITOŚCI.

— W Numerze 23 Opiekuna Domowego, podaliśmy artykuł pod tytułem „Rady dla pływaków;” dziś dla uzupełnienia przestróg tam podanych, zamieszczamy uwagi nadesłane nam przez jednego z doktorów warszawskich.

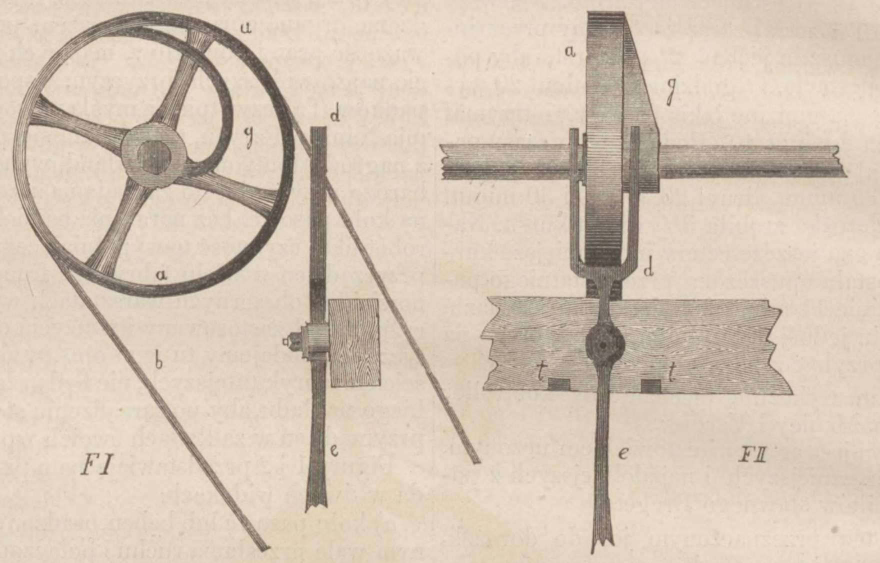
Kurcz, który dość często napada ludzi pływających i staje się przyczyną ich zguby, jest nerwowem skurczeniem się muskułow. Przypadłość ta, najwięcéj się trafia w łydce i w końcu nogi. Oprócz doznanych z tego powodu boleści, kurcz jeszcze paraliżuje chwilowo wszelkie poruszenia pływającego człowieka. W tym przypadku będąc, trzeba się przewracać na wznak i starać się utrzymać na wodzie za pomocą rąk. Potem należy wyciągnąć nogi powoli, piętami naprzód, nachylając do nogi palce. W ten sposób łydka ściągnięta kurczem, będzie się mogła rozprostować i kurcz z niéj zniknie. W ogóle ze zdrowych rad poprzednio w Opiekunie Domowym podanych i z tego dodatku o kurczu, widzieć się daje, że pośród wszelkich niebezpieczeństw, ratunek pływaka znajduje się głównie w przytomności jego umysłu, jaką zachować można. Da tego najprzód obznajmić się należy z każdym niebezpiecznym stanem i wiedzieć należy co czynić wypada, aby uniknąć niebezpieczeństwa, skoro się w niem nagle ujrzemy. Dodajmy jeszcze i to, że dobry pływak nigdy niepowinien się przerazić tem, jeżeli połknie pomimo swéj woli kilka tęgich łyków wody, i że powinien się przyzwyczajać do tego, żeby mógł pozostać czas pewien, bez oddychania pod wodą. Głównym jednak warunkiem dla kąpiących się, powinno być to, aby w stanie rozgrzania lub spocenia się, niechodzili do kąpieli, ani też prędzéj jak w cztery godziny po najedzeniu się, gdyż przez to unikną kurczów, reumatyzmów, a co gorzéj jeszcze — apopleksji.

— Instytut *Kupera* (Cooper) w Nowym-Yorku do wykształcenia moralnego, fizycznego i umiejętnego, zawdzięcza swój początek zamiarowi aby ludziom niezamożnym, a pilnym, dostarczyć możność do ogólnego umysłowego oświecenia się. Kuper sam był niegdyś zupełnie ubogim wyrobnikiem, który w początku tego stulecia zarabiał na życie jedynie zbierając i sprzedając po ulicach Nowego-Yorku odpadki żelaza i miedzi. Po dziesięciu latach stał już na czele fabryki miedzianéj blachy, a w roku 1852 posiadał przeszło milionowy majątek. Otwarcie powiadał, że sam w życiu często uczuwał, jak brak umiejętności tamuje rozwój człowieka i niepozwala mu stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa, i w téj myśli założył instytut, w którym by młodzi ludzie, po nabyciu zwykłéj nauki szkolnéj, mogli bezpłatnie kształcić się i doskonalić we wszystkich technicznych umiejętnościach. Rzecz szczególna, że do stałego komitetu nadzorczego, powołuje on jednego z dziennikarzy. W Ameryce oddawna czują wartość i wpływ prassy na ogół.

— Pewien aga turecki chwalił się, że miał konia, na grzbiecie którego mógł pić kawę w galopie, tak, że żadna jéj kropla nie wypadła z filiżanki.

Anegdota.

— Niedawno komornik miał w Paryżu przyaresztować za długi, wedle wyroku Trybunału Handlowego, pewnego kupca posiadającego skład ubioru przy ulicy Bourbon. Trudno jednak było tego wyroku dopełnić, gdyż kupiec bardzo przezornie trzymał się swojego domu, niewychodząc ani krokiem za próg, a wiadomo że wedle prawa, w domu za długi aresztować nie można. Komornikowi znudziło się czekać na szczęśliwą jaką okoliczność wyprowadzającą kupca z domu; postanowił więc uciec się do wybiegu i ten mu się udał przewybornie. Namówił on dwóch chłopców, dając im w rękę po kilkanaście groszy, aby jeden starał się niby odczepić wiszącą przed sklepem na wystawie kamizelkę, a drugi aby począł wtedy gonić go, krzycząc: Złodziéj! Co gdy się stało, kupiec, zapomniawszy całéj swéj przezorności, wybiega ze sklepu, aby chwytać uciekającego winowajcę, lecz czatujący komornik, zachodzi mu drogę i w imieniu prawa kładzie areszt na niego. Biedny kupiec dopiero teraz oprzytomniał i poznał, że go schwytano na wędkę, ale już nie było innéj rady, tylko musiał jechać do klatki, która się nazywa więzieniem Clichy, gdzie w Paryżu sadzają wszystkich niewypłacających swych długów.



Przyrząd ochraniający od skaleczeń lub śmierci w fabrykach. — (str. 227, szp. 2). — (Rysował i wyciął K. Kuczyński).

Myśli i Zdania.

— Nie jest dla tego *dziś* strasznem, kto ciągle myśli o *jutrze*.

— Postępujemy dość szybko w krainie materji — w krainie ducha, jesteśmy co najwięcéj: kroplą wody w oceanie.

— Zbytek form zewnętrznych w pojedyńczym człowieku i narodzie, jest oznaką wewnętrznego upadku.

— Nieszczęście jest pojedyńczem dla tego, który je znosić potrafi — podwójnem dla tego, który rozpacza.

— Nie ten jest sierotą, któremu pomarli rodzice — lecz ten, któremu nie dali wychowania.

— Roztropność bez odwagi, rzecz bezużyteczna — odwaga bez roztropności, szaleństwo.

— Lepsza kapota przy cnocie, — niżeli podłość przy złocie.

— Małżeństwo jest to współka, do któréj mąż przynosić powinien rozum i serce — żona, serce i rozum. Zyskują na tem i sami wspólnicy i ich spadkobiercy.

— W gospodarstwie rolnem, a bodaj i każdem, są rzeczy niezbędne — konieczne — potrzebne — i przyjemne; niewolno zmieniać ich porządku pod karą upadku gospodarstwa i zmarnowania pracy.

— Ziemia tak wielka! czemuż ludziom na niéj tak ciasno?!

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 30 Czerwca (12 Lipca) 1865 r.